



TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do tój ceny półroczna i kwartalna.
 Biuro Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.



Dawny pomnik w Meksyku.

Wiadomo zapewne czytelnikom naszym, że Meksyk był krajem cywilizowanym w czasie odkrycia Ameryki. Była to wprawdzie cywilizacja odrębna, połączona z barbarzyństwem w pojęciach religijnych i obyczajach, naród ten jednakże nie był pogrążony w takiej dzikości, jak plemiona czerwonoskórych, dotychczas koczujące po lasach amerykań-

skich. W Meksyku były miasta bogate, a w nich wspaniałe gmachy, na nieszczęście zupełnie zniszczone przez chciwych i nieludzkich zdobywców. Dawniejsze dzieje tego kraju z tego powodu bardzo mało są znane, gdyż wszelkie zabytki, mogące pod tym względem dostarczyć jakichś wyjaśnień, zaginęły prawie do szczytu.

W nowszych czasach dopiero zaczęto pilnie zbierać ślady, pozostałe z ogólnego zniszczenia i odtwarzać choć po części przeszłość zagadkową dawniejszych mieszkańców Meksyku. Ludność tam była mieszana, różne plemiona musiały kolejno przybywać i osiedlać się tam, co zapewne nie obeszło się bez starć i przewrotów gwałtownych. Wszystko to jednak utonęło w niepamięci i nigdy już do wiadomości naszej nie dojdzie. Dotychczas pomiędzy krajowcami meksykańskimi rozróżnić można dwa główne typy, mające odmienne cechy fizyognomii, mianowicie: Azteków i Folteków. Cera ich jest raczej żółta niż czerwona, czem różnią się znacznie od właściwych czerwonoskórych.

I pomiędzy zabytkami starożytnymi, pomnikami, wyrobami z gliny, odnaleźć można w figurach bóstw i różnych postaciach ludzkich, te dwa charakterystyczne typy. Rysunek nasz przedstawia dawny pomnik Folteków; niewiadomo, jakie było jego przeznaczenie. Jest to rzeźba kamienna, dobrze zachowana, przedstawia coś nakształt skrzyni, podstawa ma postać głowy ludzkiej. Widok takich zabytków drażni niezmiernie ciekawość uczonych, nie mogą z nich odgadnąć przeszłości, której świadkami były te nieme glazy. O, gdybyż potrafiły przemówić!

BRATERSKA POMOC.



— Kto to dzwonił, mateczko? — pytał dwunastoletni chłopczyk, i czarne figlarne oczy szybko oderwał od książki, jakby rad z nadarzającej się ku temu sposobności.

— Listonosz, Janku. Przyniósł nam tak dawno oczekiwaną wiadomość o przyjeździe cioci z córeczkami. Przyjadą w sobotę i przez Zielone Świątki z nami zabawią.

— Niech żyje listonosz! niech żyje ciocia! niech żyją Zielone Świątki! — zawołał Janek, i wskoczywszy na krzesło, podrzucił w górę gramatykę łacińską, z której właśnie miał się jakiejś odmiany nauczyć. Trzeba oddać sprawiedliwość zręczności Janka, bo książka nie rozdarła się, nie spadła na ziemię, ale została zręcznie w powietrzu pochwycona.

— Toż to dopiero będą zabawy i uciechy! Będę kuzynki oprowadzać po Warszawie, będę im pokazywać osobliwości różne. Cieszcie się dorożkarze! będziemy się rozjeżdżać po wszystkich ulicach. Cieszcie się Lursy, Zawistowscy, bo wam lody nie zmarnieją, nie roztopią się. Wszyscy cieszcie się ze mną!

Pani Zawilska z uśmiechem przysłuchiwała się temu potokowi słów, lecz równocześnie patrzyła na starszego syna, Władzia, na którym wieść o przyjeździe miłych gości, także zrobiła wrażenie; porwał się za głowę z mieszananą radości i zakłopotania i zawołał:

— Otóż masz! Jak te panie nie w porę zrobić nie umieją! Któż widział przyjeżdżać do Warszawy przed samymi egzaminami! Przecież nikt z nas teraz nie ma spokojnej głowy. Dwa dni po Zielonych Świątkach mam egzamin z trygonometrii a Janek z łaciny, i myślę tu o towarzyszeniu pannom i spacerach do Łazienek!

— No, nie gderaj, Władziu — rzekła matka, gładząc białą ręką jego najeżoną czarną czuprynę, którą desperackim ruchem zupełnie potargał, nie gderaj chłopcze na przyjazd kochanej ciotki. Sądzę, że kto przez lat sześć był zawsze pilnym i wzorowym uczniem, kto każdą lekcję uczył się porządnie, ten nie może mieć wielkiego strachu przed egzaminami.

— Ja też tak bardzo nie obawiam się, ale widzi mama, zawsze trzeba kurs powtórzyć, żeby być pewnym siebie.

— Et, co tam! — zawołał Janek. — Co egzamin to egzamin, a co ciocia, to ciocia. Jakoś trzeba te dwie rzeczy pogodzić. Przecież i ja nie najgorszym jestem uczniem, a z łaciny miałem „trójki” przez wszystkie kwartały; zresztą mylisz się mój braciszku, bo to nie z łaciny, ale z geometrii będą nas po świątach egzaminować.

— To jeszcze gorzej; możesz łatwo, jakiego dowodzenia zapomnieć. A potem co?

— Co potem?! nie wiem. Ale wiem co teraz jest. Oto... Władzio jest nudny i mantyka. Ciocia z Zosią i Helenką jest już w drodze do Warszawy, a maj widocznie przez samą Opatrzność stworzony jest na majówki, czego sama nazwa dowodzi. Oprócz tego przecież jeszcze trzy dni mamy do nauki. Będziemy kuć porządnie, o, będziemy kuć!

— To też zostawiam was, synkowie moi, pracujcie pilnie, to może będziecie mogli bez straty kilka godzin dziennie przepędzić z kuzynkami.

Pani Zawilska odeszła, żeby w domu pewne zmiany dla pomieszczenia gości zarządzić, a chłopcy zabrali się napowrót do nauki.

Władzio po chwili o wszystkim zapomniał, utkwivszy uwagę w matematycznych obliczeniach. Ale Janek nie mógł jakoś myśli zebrać. Przed oczyma jego, zamiast odmian i su-

chych formuł gramatycznych, migaly się białe i czarne łabędzie, unoszone srebrnymi wodami łazienkowskiego parku, zielone trawniki i drzewa i zdziwione twarzyczki zachwyconych Warszawą kuzynek.

— Ciekawy jestem — myślał sobie — czy one mię poznają. Widziały mnie w bluzie z haftowaną kryzą, zwyczajnie chłopczyka. Dziś jestem uczniem klasy piątej, mam granatowy mundur i czapkę z palmą; one tam w Madyjce pewno takiego stroju nie widują. Szkoda tylko, że czapka moja jest już trochę spłowiała, ubranie na kolanach wytarte i rękawiczek nie mam. Pójdę do mateczki, żeby zawczasu temu wszystkiemu zaradziła.

Przez następne trzy dni Jankowi coraz to nowe do głowy przychodziły myśli, dotyczące różnych rozrywek przygotowywanych dla kuzynek, a bardziej jeszcze roli, jaką miał w nich odgrywać, tak że dużo mniej mógł się nauczyć przez te kilka dni, jak tego okoliczności wymagały. W sobotę poszli obaj bracia o godzinie szóstej wieczór na dworzec wiedeński; z biciem serca przysłuchywali się dzwoniącym, zapowiadającym przybycie pociągu i trzymali się obaj najbliższych drzwi, prowadzących na peron. Nareszcie z wielkim hukiem, gwizdaniem i hałasem nadjechał pociąg, od granicy jadący; drzwi otwarto i ludzie, z których każdy oczekiwał na kogoś ze swoich, tłumnie wychodzić zaczęli z sali. Nasi znajomi biegli naprzód i uważnie przypatrywali się, z którego wagonu wyjdzie wyglądana ciocia. Nawet Janek w pośpiechu swym czule ucałował rękę jakiejś nie młodej, dość otyłej pani, która wydawała mu się do cioci podobna; ale była to fatalna pomyłka, bo owa pani powiedziała mu: „Omyliłeś się kawalerze” i wyciągnęła wyrwaną mu rękę do jakiegoś pana, który na nią oczekiwał. O mało co gorzej jeszcze nie było przy drugim wagonie, z którego wysiadła ładna blondyneczka w białej pikowej sukience. Jankowi zdawało się, że to kuzynka Zosia i już miał ją uściskać, ale na wielkie szczęście w tej chwili Władzio pociągnął go ku oknu, którem wyglądała jakaś poważna pani, mówiąca:

— Proszę o dwóch posłańców do zabrania rzeczy.

Z poza tej pani wyglądały dwie zaciekawione główki dziewczęce. Starsza z panienek, ujrzawszy chłopczyków, zawołała radośnie:

— To pewnie nasi braciszkwowie, poznaję ich po fotografii. Władziu, Janku! czy to wy?

— Tak to ja, w mój własnej osobie — zawołał Janek — i mój brat Władzio.

— Jak się macie Zosiu, Helenko. Jak to dobrze, żeście już nareszcie przyjechały, — i wszedłszy do wagonu, zaczęły się krzątać i pomagać paniom do wyjścia.

— Janku — rzekł Władzio, gdy już wszyscy byli w poczekalni — odwieź do domu ciocię i kuzynki, bo mama wygląda ich niecierpliwie; ja się tu zajmę odebraniem i odstawieniem rzeczy; niech mi w tem ciocia zaufa.

— O dziękuję ci mój chłopcze; wiem, że to zrobisz porządnie, a my tymczasem twoję matkę uściskamy.

* * *

Nazajutrz słońce bardzo wczesnie promieniami swymi oświeciło pokój szkolny, w którym po dość długo przeciągniętym wieczorze, obaj chłopcy spali smacznie. Władzio jednak obudził się zaraz, a przetrząsłszy oczy, zaczął wołać na brata:

— Janku, wstawaj! dopiero czwarta. Śniadanie będzie o dziewiątej; mamy więc pięć godzin do nauki. W ten sposób niedospawszy trochę, rankami i wieczorami dużo możemy pracować, a tak i do spacerów należeć będziemy i egzamina nie przepadną.

— Piękna rada — oburknął rozespany Janek, jaby umarł do czwartku, gdybym miał codzień kłaść się o północy, a wstawać ze świtem. Któżby wtenczas za mnie egzamina zdawał; i odwrócił się do ściany, bo światło dzienne w oczy go raziło.

Władzio ubrał się prędko i pracował pilnie, od czasu do czasu nawołując brata do lekcji. Ale napróżno. Janek dopiero o ósmiej wstał z łóżka i powoli zaczął się stroić. O dziewiątej godzinie wszyscy się zeszli na śniadanie. Władzio rze-

żywy i zadowolony; Zosia i Helenka zachwycone katedrą, w której Mszy Świętej już przedtem wysłuchały, a Janek z rozspanem oczyma i żalem, że parę cennych godzin przepała leniwie.

— Dzień zaczęliśmy od modlitwy — rzekła wstając od śniadania pani Zawilska, teraz więc możemy robić dalsze plany.

— Władziu, ty jako najstarszy z dzieci, masz głos przeważający. Radź, co dziś ciekawego zobaczyć można.

Władzio namyślał się chwilkę: Przedewszystkiem dobrze było, żeby Zosia i Helenka zobaczyły gabinet zoologiczny w uniwersytecie. To nam zajmie dużo czasu i zmęczy dostatecznie. Jutro radziłbym pojechać do Łazienek.

— Doskonale! doskonale — zawołały panienki; dnie teraz takie ciepłe i pogodne, że spacer będzie rozkoszny.

— A jeszcze spacer do takich przepysznych Łazienek! — wtrącił Janek. Dobrze, zezwalam na projekt Wadzia; wydaje mi się dość dobry.

Mama i ciocia nie czekały wprowadzić na zezwolenie Janka, lecz widząc radość ogólną na wszystko przystały. Dobrze i szczegółowo oglądano okazy zoologiczne, przyczem Władzio był niezmiernie pożyteczny. Nazajutrz zaś cała gromadka udała się do Łazienek. Droga przez Krakowskie Przedmieście, Nowy Świat i Aleje Ujazdowskie przesłiznęła się dziewczynkom wydała. Te ogromne trzy piętrowe kamienice, a między niemi, wznoszące się wysoko kościoły, wspaniałe pałace, starannie utrzymane skwery, tu mnóstwo wystrojonych ludzi; jednocześnie powozy i tramwaje; ta rozmaitość barw jaskrawych i coraz to nowych wrażeń, wszystko to było nowe dla dziewczynek, chowanych na wsi i oszołomiło je zupełnie.

W botanicznym ogrodzie towarzystwo podzieliło się na pary. Janek, podawszy ramię jasnowłosej Zosi, równiennicy swojej co do wieku i mało co mniejszej od niego, szedł dumny i wyprostowany, myśląc, że przy różowej sukience kuzynki ładnie musi wyglądać jego granatowy mundur.

— Jakież to przesłizne róże — rzekła nagle Zosia, wskazując na cały rząd krzewów, wspaniałymi kwiatami okrytych. Szkoda, że to nie u nas w Medyce jesteśmy.

— Dla czego szkoda? przecież Warszawa piękniejsza i nawet kwiatów tu więcej.

— Cóż, że tu są kwiaty, kiedy nie moje; za ledwie przechodząc spojrzeć mi na nie wolno. Gdyby te białe róże kwitły w naszym ogrodzie, jużbym je dawno zerwała — mówiła Zosia i troszkę pogardliwie spjrzała w koło siebie.

Janek się zmartwił; on pragnął żeby w Warszawie wszystko było najdoskonalszem dnia tego, i nie wiele się namyślając, zerwał upragnione róże i podał je z tryumfem dziewczynce.

Spacerujące wokoło osoby ze zgorzeniem spjrzały na takie zapomnienie się chłopczyka, który opamiętawszy się, czerwony jak piwonia, wokoło siebie spoglądał. W tej chwili jeden z ogrodników, zbliżył się grzecznie, ale stanowczo:

— Niech pan będzie łaskaw za mną do zarządu, bo tu kwiatów obrywać nie wolno.

Janka fantazya opuściła, spuścił oczy i sam nie wiedział, co mu czynić wypada, widząc zawstydzenie Zosi i przykre uczucia malujące się w twarzach zbliżającej się do nich reszty towarzystwa. Udało się wprowadzić pani Zawilską uspokoić jakoś tę sprawę, ale wesołość Janka na długi czas przepadła i gdy stanęli w Łazienkach on trzymał się na uboczu.

— Jakżeż tu ślicznie — zawołała Helenka, stojąc na moście i z zachwytem przyglądając się pałacykowi.

— Tak, ta budowa jest arcydziełem lekkości i smaku, — mówił Władzio. Zdaje mi się, że jest to styl odrodzenia. Ale patrzcie siostrzyczki, jak ten pałacyk otoczony jest wodą.

— A więc jest to wysepka, mostami tylko połączona z lądem stałym. Jakaż to myśl oryginalna.

— A te drzewa wokoło, te wielkie pomarańcze na tarasie to wierzba płacząca, której zwieszona gałązki muskają zlekka falującą się wodę — wołała z zapałem Helenka, lubiąca przedewszystkiem naturę i umiejąca zawsze jej piękno oce-

nić, i posunęła się nad staw, a całe towarzystwo postąpiło za nią.

— Łabędzie! — wykrzyknęła Zosia, takie śliczne, białe i czarne. Jakie mają długie szyje i jak się nas nic nie boją.

— Te łabędzie są przyzwyczajone do ludzi, bo tutaj mnóstwo osób spaceruje i karmią je bułeczką lub piernikami.

— Szkoda, że my nie mamy im co dać. Patrzcie jak one blisko przypływają do samej mojej ręki. Ach, czemuż muszę zawieść ich zaufanie i puścić je z niczem? i Zosia posmutniała; Janek gdy to usłyszał, zniknął na chwilę, ale wkrótce powróciwszy, podał Zosi paczkę pierników.

— Teraz i ty możesz dawać jeść łabędom, bo ja ci w tem dopomogę, i z takim zapałem zaczął się popisywać swą znajomością z łabędziami, że strącił z głowy Zosi śliczny, biały kapelusz!

— Ach! — krzyknęła Zosia, wyciągając ręce i pochylając się naprzód, przyczem noga jej się poślizgnęła. Zosia zsunęła się na schodki i już już... miała wpaść w wodę, gdy przytomny Władzio, chwyciwszy ją za suknię, przytrzymał na czasie. Zosia przestraszyła się i zbladła, wkrótce jednak przysła do siebie. Za to kapelusz którego ratując o mało nieprzyjemnej kąpieli nie użyła, pływał sobie spokojnie zanurzony w wodzie po brzegu. Duży biały łabędź zaciekawiony tym nieznanym sobie przedmiotem, schwycił dziobem za wstążkę i majestatycznie ciągnął go za sobą, nie oddalając się jednak od brzozy, co bardzo zabawny przedstawiało widok. Janek pełen skruchy i zawstydzenia, ze zwykłą sobie żywością, już chciał się rzucić do wody, by nieszczęsną ofiarę swego roztrzępania od ostatecznego zniszczenia uratować. Ale Władzio nie dopuścił do tego nierozważnego czynu i przywabiwszy piernikiem łabędzia, długą cioci parasolką zdołał kapelusz wyłowić. Otrzepano go i wysuszono na słońcu. Zosia nadrabiając minką, włożyła go na głowę, choć żal jej było niezmiernie, bo po przymusowej kąpieli wcale już ładnie nie wyglądał.

Następnie wsiedli wszyscy na dużą łódkę i parę razy staw wokoło objechali, przypatrując się jak z różnych stron pałacyk coraz inaczej, a zawsze ślicznie wygląda.

— A to co jest?! — zawołała nagle Helenka, pokazując na prawo, gdzie w pośród bujnej zieloności wyglądały kamienne ruiny.

— To teatr — tłumaczył Władzio, chodźmy tam, a przypatrzcie się mu lepiej. Na tej wyspie pokrytej drzewami, wśród umyślnie, na wzór starożytnych pozostałości Rzymu, ustawionych ruin, odbywa się przedstawienie. A tu na lądzie widzowie siedzą w tym wspaniałym amfiteatrze.

— Cóż to za przyjemność być musi, patrzeć na przedstawienie w tak ślicznej miejscowości — mówiły panienki i radość ich nie miała granic, kiedy p. Zawilska oznajmiła im, że bilety są już kupione na dzisiejszy balet, a one właśnie baletu jeszcze nigdy nie widziały.

Jeszcze słońce nie zupełnie zaszło, kiedy publiczność schodzić się zaczęła. Wszystkie miejsca, od najniższych nad wodą, aż do najwyższych wzniesionych rzędów zostały zapełnione. Na wysepce u stóp widzów zaczęto ogień zapalać i wśród drzew i świateł odbijających się w wodzie, przy dźwiękach doskonałej muzyki, zabawny balecik odegrano.

Tymczasem księżyc wzbil nad ogrodami i niebo tysiącem gwiazd zajaśniało. W chwili skończonego widowiska od strony pałacyku zrobiło się jasno. Wszyscy oczy tam zwrócili.

Cały pałacyk, posągi na jego płaskim dachu, liczne rzeźby rozrzucone na tarasie ciemne wysmukłe cyprysy i kuliste pomarańcze stanęły w morzu elektrycznego światła. Był to widok czarowny. Panienki zdumione wlepiły w niego oczy, oniemiawszy z zachwyty.

Gdy światło zgasło i ciemność ogarnęła park cały, wszyscy tłumnie zaczęli pospieszać ku miastu. Zosi i Helence zdawało się, jakby powracały z cudownych krain, opisanych w tyśiącu i jednej nocy i nic nie czuły zmęczenia, choć dzień ten niezwykle był ruchliwy i pełen wrażeń.

POD WPLYWEM BŁOGOSŁAWIENSTWA.

(Dalszy ciąg).

XV.

Preszów, madziarskie Epéries, nad rzeką Torysą położone, stołeczne komitatu szaryskiego, ładne, dziesięcioletnie podówczas miasteczko, pogrążało się w cieniach wonnego lipcowego wieczoru, gdy przed jedną z najskromniejszych miejscowych oberży, zajechał żwawo jak zwykle w Węgrzech czwórka zaprzężony wózek, z którego wyskoczył młody podróżny. Wszedł do głównej sieni i zażądawszy osobnej izdebki natychmiast udał się doń za gospodarzem.

Pomimo skromnych pozorów i tanioci, czy też właśnie dla tych powodów może, oberża była dosyć uczęszczana przez miejscową inteligencję zwłaszcza, niezbyt obfitującą w bogactwa materialne jak to jój się zdarza częstokroć, nie tylko w skromnym acz historycznej pamięci Preszowie. Siedziało więc po kątach dużej wstępnej sali kilku mężczyzn, gawędzących spokojnie przy stolikach i lampeczkach z winem. Za wejściem podróżnego rozmowy ustały i kilka par oczu pogoniło za nim, póki nie zniknął w drzwiach przeciwnych:

— Wiesz ty kto to?... — rzekł wtedy półgłosem jeden z obecnych do towarzysza.

— Nie wiem, ktoś obcy.

— Nie zupełnie, ze sławy przynajmniej: to Petöfi!

— Nie może być! — ozwało się kilka głosów z różnych stron sali.

— Z wszelką pewnością: wiecie przecież że i ja drę się gwałtem na Parnas, i wdarłbym się dawno, gdyby nie to że mi Pegaz szkaradnie jak najostatniejsza podbita szkapu kuleje... — rozśmiano się, a poeta ciągnął dalej — pomimo to jednakże będąc niedawno w Peszcie, miałem zaszczyt poznać kilku starszych braci w Apollinie a między nimi i tego; zaręczam że to Petöfi. Jeżeli mię nie przywitał to dla tego że nie dostrzegł.

— Ależ jeżeli tak, to trzeba zawiadomić Tompę i Kereniego!

— A prawda! trzeba.

— Co to? Co się stało? — spytał gospodarz, wracając od nowo-przyjezdnego i widząc nagły ruch pomiędzy dawniejszymi gośćmi.

— Ten podróżny, to jest Petöfi!

— Co! ten co napisał *Witezia Janosa*?

— Ten sam! Trzeba coprędzej dać znać Tompie i Kereniemu, niechże poeci przywitają poetę! — Obecni goście wybiegli śpiesznie.

— Hej, dziatwa! żonko! do roboty a żwawo, przyrządzać co dom ma najlepszego, a dużo! Wojciech bierz kosz, pójdziemy do piwnicy po wino! — zawołał gospodarz zacierając ręce ochoczo.

— Dla kogo? Dla jednego gościa? Czy nie widzisz że wszyscy się wynieśli? — zapytała zdziwiona gospodyni.

— No no, wróci ich tutaj więcej niż się wyniosło, zobaczysz! — rozśmiał się mąż doświadczeńszy — nie codzien sławny na całe Węgry poeta zajeżdża do naszej gospody, a choć Petöfi to nie Voeroesmarty...

— Ej, ja tam wolę pieśni Petöfięgo niż Veroesmartęgo — ozwała się młoda córka gospodarza — bo takie jakoś do spamiętania łatwe, i jakby dla mnie naumyślnie pisane! — i młoda Węgierka ani domyślając się, że powyższemi słowy scharakteryzowała bardzo wiernie w istocie główny rys cechujący prawdziwego ludowego śpiewaka, biorąc się żywo do siekania wyborowego mięsiva na gulasz dla spodziewanych gości, zaśpiewała jednocześnie z całej piersi, czystym jak dzwon głosem ulubione „Cztery woły”.

To nie było w starój Budzie,
Tam nie jawią się te dziwy,
Na wsi inni jakoś ludzie,
Tu człek wesół i szczęśliwy.

Wóz kowany uprzężono
I ochocze wsiadło grono,
Cztery woły środkiem drogi
Ciągną zwolna wóz ubogi.

I jam zasiadł pośród grona,
Przy dzieweczce czarnobrewój,

W zdrowiu, szczęściu, czy w chorobie
Jedną gwiazdkę miejmy sobie,
I niech woły środkiem drogi
Jaką chcą ciągną wóz ubogi.

Wieczera przygotowywała się żwawo, dziewczyna śpiewała pieśń po pieśni ochoczo, Szandor rzuciwszy się na sofę w bocznej izdebce, słuchał z rozkoszą tych myśli i uczuć własnych, a tymczasem ludzie zaczęli schodzić się do izby i otaczać oberżę, gdy Tompa i Kerenyi jeden za drugim wbiegli za innymi, wołając:

Tam nie jawią się te dziwy!...
Zaśpiewała znowu mimowoli córka oberżysty, wysłuchawszy uważnie słów poprzednich.

— Na wsi inni jakoś ludzie,
Tu człek wesół i szczęśliwy —
Zawtórzyli jój zebrani w sali, a tłum na ulicy coraz gęściejszy przy zapadającym mroku zaczynał wtóżyć śpiewom brzmiałym w sali, bo wszyscy umieli na pamięć pieśni ludowe go śpiewaka.

— Pochodni! Serenada z pochodniami na cześć naszego pieśniarza Szandora Petöfięgo! panowie — zawołał ktoś w tłumie, a sto głosów powtórzyło ten okrzyk, kilka pochodni zabłysło prawie natychmiast, mnożąc się następnie z każdą chwilą, i cała ludność miejska huknęła zgodnym chórem:

— Wóz kowany uprzężono
I wesołe wsiadło grono
Cztery woły pośród drogi
Ciągną zwolna wóz ubogi!...

Szandor zerwał się i rzucił do okna, potem do drzwi, drżał ze wzruszenia ale zrozumiał odrazu o co chodzi, gdyż istotnie rzeczy spotykały go już w innych miejscowościach:

— Eljen Petöfi! pieśniarz nasz! — huknął tłum na widok bladego młodego chłopca, gdy go Tompa i Kerenyi znani poeci, wywiedli z domostwa na jaskrawymi blaski oświeconą przestrzeń.

— O jedno proszę Boga, abym życiem i śmiercią stwierdził ducha pieśni mojej! — powiedział pieśniarz, otwierając ramiona najbliższemu stojącemu.

— Eljen Petöfi! — odpowiedziano, aż szyby w całym mieście zadzwoniły.

Rozpoczęła się uczta.

W głównej izbie oberży zasiadła do długiego stołu cała inteligencja dziesięcioletniego miasteczka, z Petöfim na czele, bodaj czy nie najmłodszym wiekiem z obecnych, z Tompą i Kerenim po obu jego stronach. Wkrótce przy toastach posypały się improwizacye, mniej więcej dowcipne a zawsze huczne, prozą i wierszem, a w tym ostatnim rodzaju przesadzali się oczywiście trzej przy sobie siedzący poeci, żartem ogłaszając konkurs na toasty.

— Ej, co mi tam improwizacya — ktoś nagle zawoła — jest to dar osobny prędkiego wierszowania, przyspieszony proces tworzenia, jeśli chcecie, ale zawsze tworzenia wierszy tylko!... Błyszczycie mi to, huczycie, dźwięczy, olśniewa, otumania, ale czy to jest poezya? ja nie wiem! Nie wiem, bo nie mam czasu pochwycić tego błyszczącego ptaka za skrzydła i przypatrzeć mu się gdyż ulata. Dla mnie poezya musi być koniecznie napisana, abym się nad nią mógł zastanowić: zamiast mówić, napiszcie o wy synowie Apolina improwizacye wasze, wtedy je ocenimy, przeczytawszy.

— Bravo! konkurs poetyczny będzie najwłaściwszym epizodem dzisiejszej uroczystości! — zawołano chórem.

— Ale dopuszczeni wszyscy kto kiedykolwiek choć raz dosiadał Pegaza! — zawoła Petöfi, przez uprzejmość dla pospolitego ruszenia poetów miejscowych, w których Preszów obfitował. Ale na to nie chciano przystać, ograniczając konkurs do trzech głównych obecnych gwiazd, błyszczących na horyzoncie poetycznym.

— Jeżeli konkurs ma być seryo, niechże nie będzie toastem, dajmy temat na wskroś poetyczny, proponuję: przy księżycu... o majowym brzasku... chatka w lesie...

— Chatka w lesie!... — okrzyknięto większością głosów.
— Zegarek kładzie się tu na środku stołu... poeci wychodzą z materyalami piśmiennymi każdy do osobnej izdebki... obszerność poematu; dziewięć strof, czterowierszowych... czas



PAŁAC W ŁAZIENKACH,

Brzmi drużyna ożywiona,
Dźwięczą śmiechy, dzwonią śpiewy:

— Patrz dzieweczko — rzeknę skrycie —
Ile gwiazdek na błękiecie!
Gdy na ziemi środkiem drogi
Ciągną woły wóz ubogi.

Ileż gwiazdek na błękiecie!
Ach, wybierzmy jedną jasną,
I niech nigdy nam przez życie
Jój promyki nie zagasną!

— Hej gospodarzu, gotuj wieczere a paradną! i na tyle osób ile ich dom twój pomieści! Słychać że w Koesmarku wspaniale uczty wyprawiano na cześć Petöfięgo; w Borjad mnóstwo dziewczątek w bieli przywitało go wieńcem bluszczowym; urzędnicy komitatu Geomoer nadali mu honorową godność *Tablabiro*. Niby to nic, a w istocie wielka rzecz, przez taką godność nadaną w obcym komitacie na mocy głosowania powszechnego, Petöfi został szlachcicem jako wielki poeta, przypuszczonym do spraw komitatu. I my powinniśmy okazać się że umiemy go cenić!

— To nie było w starój Budzie,

jedna godzina... A przez tę godzinę my, tu, mamy ani słowa nie wyrzec, żeaby nie splotyć natchnienia!

(d. c. n.)

Korespondencya Wieczorów Rodziny.

Wiedeń 20 Maja 1890 r.

Kochana Gołąbko, wszak lubisz kwiaty? A któżby ich nie lubił, słyszac hymny królewicza Zielonki na cześć Wiosny? Królewicz Zielonko wprowadził Abrakadabrusa do swego ogrodu zimowego; pozwól, Gołąbko, bym ja ciebie do ogrodów i cieplarni nie wymarzonych, ale istniejących wprowadziła. A takich ogrodów wyśnić niepodobna prawie; rzeczywistość czarująca, olśniewająca jakież nam cuda odkryła! Mówię tu o ogrodach bar. Rotszylda, które tej wiosny dla publiczności otwarte zostały. Pieniądze otrzymane za bilety wejścia, przeznaczone są na zasilenie Towarzystwa: Dobrowolnej pomocy ratunkowej; jednej z najbardziej sympatycznych tutejszych instytucyj filantropijnych. Jest więc i cel szlachetny obok przyjemności. Ogrody bar. Rotszylda położone są za miastem w Ober-Döbling. Rozciągają się one na znacznej przestrzeni, zawierają w sobie inspekta, cieplarnie, szkółki, ozdobne domki w kształcie pałacyków i t. d. Po przekroczeniu bramy tego zazwyczaj niedostępnego Szemmu, wchodzimy w ulicę ogrodową, szeroką, usypaną zwirem, i... następuje maleńki rozczarowanie. Ogrodnicy w odświeżonych ubraniach, rozstawieni po rogach ulic i ścieżek, wciąż nam dalej iść każą. Niezadowolenie nas ogarnia, gdzie owe cuda, o których rozpowiadano? Jak długo ta nieznośna słoneczna droga ciągnąć się jeszcze będzie? A tu zakręt jeden, drugi, mijamy maleńki pawilon z czerwonej cegły, o dachu z kafli kolorowych, pokryty sztukaterjami, wreszcie droga się rozszerza, wступujemy na rodzaj platformy, i... okrzyk zdziwienia wyrwa się z piersi. Z jednej strony wśród klombów i wazonów stoi pałacyk jak cacko, taki błyszczący, pokryty ozdobami, tak misterny i zgrabny, mieniący się w słońcu, strzeżony przez dwa lwy na marmurowych schodkach stojące. Lwy te bronią wistocie wstępu, a jeden z nich, kamienną głowę swoją w przeciwną stronę zwracający, zdaje się mówić: „Patrzcie tam, zkrada widok nie na dzieła ręki ludzkiej się rozciąga, gdzie Stwórca wzgórze wznosił Wszzechmocną dłońią doliny i pola uniał.” Zbliżamy się ku balustradzie, spoglądamy w dal; oko sięga szczytów Kahlenberga... i Leopoldsberga o warownym dawniej zamku. Jakże szeroko pierś tu oddycha, dal niezmierną napełnia zadowoleniem, świat nie jest ciasny, ileż przestrzeni! ileż zieleni, o! świat nie jest bezbarwny! Nasyciwszy się widokiem, zwracamy się naprzód i jesteśmy u celu wędrowki. Rozpoczyna się szereg cieplarni, ciągnących się w głębi ogrodu, ale nie szereg jednolitych, nudnych.

Przeciwnie, cieplarnie te także rozrzucone wśród owocowych szpalerów, wśród cienistych gąszczu i kwiecistych trawników stojące, robią na zewnątrz wrażenie domków z cukru, takie czyściutkie, biało-zielone, eleganckie, a nie przeładowane. Cieplarni takich zwiedziliśmy cztery, są one ogromne, choć na pozór wydają się daleko mniejsze; raz, że są głęboko w ziemię wbudowane i do wnętrza schodzi się po schodach, po drugie, ściany frontowe są stosunkowo wąskie. Wszedłszy dopiero do wnętrza, gubiąc się w labiryncie korytarzy, sal, altan, można się przekonać o rozmiarach tych budynków. W pierwszej zaraz cieplarni, znajdujemy się w alei wrzosów, wszędzie gdzie spojrzysz, masy biało-różowych kwiatów się witają. Niektóre z nich są to małe drzewka o smukłym pieńku, którego wierzchołek całkowicie pokryty fioletowem, białem lub różowem kwieciem. Z sali wrzosów przechodzimy do innych, róże w doniczkach, azalie i inne barwne kwiaty migają przed oczyma; u sufitu pną się zwoje męczennicy, wśród której liści tu i owdzie duży ów kwiat passyjny spoczywa, co zadziwia kształtem i zasmuca suchotniczą barwą. Tuż koło bladej męczennicy, strzela w górę wysoka, z Jawy pocho-

dzająca roślina. Czerwoną jej kwiat, na samym szczycie się znajdujący, stanowi rodzaj dzwonu z podstawką. Świetna jego purpura z daleka w oczy bije. W sąsiedniej przedziałce ustawione liście ozdobne wszelkich odcieni, od białego do ciemnoczerwonego; gładkie, przegowane w zielone, czerwone, białe żyłki stanowią tem barwniejszy kalejdoskop, że w tej właśnie chwili słońce na nie przez szklany sufit spogląda. Jakież przepych. Podziwiamy białe gardenie wśród zielonych, błyszczących liści, zamorską roślinę o grubych brunatno czerwonych liściach, wśród których spoczywa kwiat w kształcie gwiazdy, a w tej gwiazdzie środek gdyby koral czerwony. Dochodzimy do oddziału kaktusów, zaglądamy doń przez szklane szyby. I oto powstają przed nami skały, a ze skał tych wyrastają lub przyczepione są do nich kaktusy wszelkiego rodzaju. Smukłe, pękate, gąbczaste, gładkie lub najeżone kolcami, rozgałęzione, powykrywane, nagie lub kwiatem ozdobione. Prawdziwie meksykański krajobraz! Czegoż to sztuka ogrodnicza nie dokona!

Dostajemy się na zewnątrz, do ogrodu. Wśród klombów, na kamienistych wzgórkach rosną skalnice, a tuż obok na grządce kołysze się poważnie papuga o czerwono-niebieskiem upierzeniu. W klatkach przymocowanych do drzew śpiewają ptaszki, bzy i wiśnie kwitną; jakże uroczym być musi spoczynek popołudniowy w tem zaciszu! I tu wznosi się pawilonik, ale mniejszy od poprzedniego; nie tak strojny, za to w pnącą się ziemię spowity. Ten zakątek to sielanka wielkopańskiej posiadłości. Ale dróżka wciąż dalej prowadzi; barwinkiem upstrzone trawniki rozszerzają się nagle, przed nami rozciąga się platforma, na niej pałacyk z tarasem. Nastrój idylliczny pierzcha, bo gdy w dal spojrzysz, ukazuje ci się Wiedeń w swęj wielkomięjskiej wspaniałości, poza nim wstęga Dunaju, wzgórze lasami pokryte. Mimowoli ulegniesz urokowi tej panoramy! ponad którą bezgranicznie lazuruje niebo się zwiesza. A tuż przed tobą balustradą tarasu odgraniczony, wznosi się pałacyk, arcydziełko lekkiej architektury. Miemi się wszystkimi barwami, tysiączne promienie łamią się w kolorowych błyszczących dachówkach, niszce rzeźbami ozdobione i zielenią. Kunsztowne ławeczki, majolikowe wazoni rozstawione tu i owdzie, a całość otoczona wieńcem tui i niezapominajek, zwyciężających błękitem swym wszystkie barwy, które tu o pierwszeństwo walczą. Aż trudno oderwać wzrok od owego niemego współzawodnictwa sztuki z naturą. Ale dyżurujący ogrodnik zaprasza do dalszej wędrowki, kierujemy się ku następnej szklarni, gościnnie otwierającej swe wrota. Jest ona największa z wszystkich, najwspanialej utrzymana, najdroższe też zawiera okazy. Czegoż tu niema? Jest lasek amerykański, gdzie rosną wielkie palmy o wieloszczepnych wachlarzowych liściach rozmiaru parasola, lub których liście powycinane nakształd paproci, nadzwyczaj długie a wąskie, ku ziemi się spuszczaają. W głębi wznosi się biała figura, niezupełnie może stosowna w tem otoczeniu, ale na tle pnących się egzotycznych roślin, kwiatów zwieszających się od stropu, fantazyjnych liści, wygląda ona bardzo poetycznie. Cały ten lasek wyłożony jest drobnutkiem wilgotnym mchem, prawdziwy kobierzec stanowiącym. W salach przybocznych znów wzgórki i klomby kwiatowe; olbrzymie, pełne maki, naparstnice, gwoździki, róże, lilie, fuksye, azalie, tak pełne kwieciami, że sprawiają wrażenie kul różowych, georginie odrębnego gatunku i tysiące innych kwiatów, że nazw ich niepodobna wyliczyć. Miły chłód wieje od fontanny, tryskającej w sztucznej grocie, w wodzie złote rybki pływają, tajemniczość nas otacza... Przechodzimy do oddziału storczyków, z których słyną tutejsze cieplarnie. Kroczymy wśród korytarzy, których ściany pokryte są całkowicie listkami „*ficus stipulata*” a od których stropu zwieszają się w kształcie lamp pęki kapryfolium. Miejskami w korytarzykach znajdują się zagłębienia, stanowią one kwieciste altany; ławeczki zachęcają do spoczynku. Z okien tych altanek spoglądać można na grządki storczyków, których barwy i kształty wszelkie marzenia wyobraźni przewyższają. Są tu skromniejsze łąkowe i pyszne zamorskie storczyki czerwone, żółte, zielone, nakrapiane, przypominające twarz ludzką, ptaszki, owady; na niektóre aż strach patrzeć, w takie są zaopatrzone wasy. Niektóre z nich rosną w doniczkach, inne znów wyrastają poprostu z deseczek pokrytych

stosowną warstwą kory. W cieplarni tej przymocowany jest cały szereg podobnych deszczulek kwiatowych, co stanowi bardzo oryginalny widok. Oglądamy jeszcze krzew wanilii o długich strąkach, i żegnamy nakoniec tę cieplarnię pełną cudów i uroków. Zagłębiając się dalej w ogród, wąską drożyną dostajemy się do trzeciej z kolei szklarni, stojącej na uboczu w cieniu krzewów i drzew. Kwitną tu rozrosłe potężnie kamelie, lśnią gładkie liście krzewów cytrynowych. Wspaniałe kolekcje gwoździków i róż herbacianych, mają swe osobne pokoiki, zwracają też uwagę krzaki polnych stokroci. Zrobiwszy dokładny przegląd, wstępujemy znów do ogrodu. Mijamy inspekta, szpalery drzew owocowych, altany utworzone z gałęzi brzoskwiniowych, pozginanych w kratę, wchodzimy do czwartej cieplarni. Zaraz na wstępie uderza nas niezwykle wysoka temperatura i zapach z obecną porą roku nie licujący. O dziwo! toż to truskawki w doniczkach, dojrzałe, purpurowe, wielkie jak pół pięści, a jak pachną, jak nęcą podniebienie! Ściany winną latoroślą porośnię, ze szpalerów sklepionych zwieszają się dojrzałe już fioletowe grona. Dalej melony i dynie, pomidory, wiśnie, brzoskwinie, maliny — wszystkie dojrzałe, soczyste; figi także już spore, choć zielone jeszcze. Bracia moi chcieliby tu dłużej pozostać, ale gorąco nie do wytrzymania; podziękowawszy więc ogrodnikowi, po którego wymowie nietrudno domyślić się Anglika, za objaśnienia, opuszczamy tę prawdziwie ciepłą cieplarnię i jesteśmy u kresu wędrówki. Jak cudny sen stają mi przed oczyma te oglądane wspaniałości, podróż wśród kwiatów nie wyjdzie mi nigdy z pamięci. A gdy ją wspominam, przychodzi mi na myśl „Kochana pani”, która tak rośliny ukochała, tak potrafiła tajemnice ich życia młodemu czytelnikowi uprzystępnąć, tak swojskie kwiaty nad inne przerosła. Myślę o tem i marzę... o niezapominajkach A brakadabrusa.

Jaskółka z nad Dunaju.

POSZUKIWACZE DZIKICH ZWIERZĄT.

(Dokończenie).

Pewnego wieczora podróżni rozłożyli się na noc pod wspaniałymi palmami na wzgórzu, w suchej miejscowości, co zapewniało im noc swobodną od szkaradnych mustyków, owadów trzymających się wilgotnych nizin. Zaledwie wszyscy posnęli, gdy świst przeraźliwy zbudził ich nagle.

— Maszyna parowa idzie! — krzyknął Tomek na wół przebudzony przecierając oczy. W tejsze chwili nastąpił drugi, trzeci i setny, podobny świst z góry, z dołu nawet odezwały się gwizdania tak liczne i przeraźliwe, że młodzi chłopcy uszy zatykali mimowolnie. Równocześnie jakby na hasło jakie, wszystko co spało na ziemi i w powietrzu obudziło się i poruszyło, a co tylko głos wydać mogło, jęknęło, zawył i zaskrzeczało ze strachu.

— Co to jest? — pytał Tomek przerażony, acz nie zbywało mu zwykle na odwadze:

— To pewno burza! — odpowiedział Menito Meksykanin.

— Uciekajmy! — zawołali razem Tomek i Melchior.

— Gdzie?

— Na statek!

— Jeżeli to prawdziwa burza, to nie lepiej nam na rzece niż tutaj!... — rzekł nowy sternik i właściciel statku stary Kolema, wskazując wzburzone fale, jak to bywa zwykle w czasie trzęsienia ziemi. Podróżni pozostali tam jednak gdzie byli. Pomimo wycia i świstania, które jeżeli ustawały chwilo-wo, to jeszcze gwałtowniej odzywały się natychmiast, jakaś dziwna bezwładność opanowała chłopców, że prawie ruszyć się nie mogli, Melchior zaś pytał sam siebie, czy przykra ta noc nigdy się nie skończy?

— Słuchaj pan — rzekł Kolema do Melchiora dotykając jego ramienia w chwili gdy piekielny hałas ustał na sekundę. — Czy słyszysz pan co wiatr wyprawia w wierzchołkach drzew? To trąba się zbliża! spodziewałem się tego!

— Mniejsza o to, noc przecież mija, dzień nadchodzi, a to coś znaczy — powiedział Melchior wskazując kilka smug białawych na niebie. Próżno się pocieszał jednakże; zdawało się że wrzaski złowieszcze i te głosy bez nazwy, od jakich drżała ziemia, po to tylko ustawały aby niebawem tem silniej wybuchnąć. Huragan o jakim my mieszkańcy stref umiarkowanych nie mamy pojęcia i coraz częstszy trzask piorunów powiększały grozę chwili. Deszcz nie padał, ale tumany suchych liści, gałęzi i piasku, wzbijały się w powietrze i spadając uderzały jak grad nieszczęśliwych podróżnych, którzy w obec tej strasznej burzy byli bezbronni, a w dodatku musieli walczyć z wezbranymi falami rzeki, która wylawszy, utworzyła ze wzgórz, obecnego schronienia podróżnych, maleńką wysepkę, gdzie chwytając się tylko mocno krzaków i drzew, zaledwie utrzymać się mogli. Przez ostrożność Czarnulo został przywiązany do drzewa, ale gdy woda i tam to biedne zwierze już miała zalać, wtedy przerażone, jęki swe przyłączyło, do jęków natury. To jednak otrzeźwiło chłopców z owego odętwienia, będącego może skutkiem wyziewów powietrznych, albo tylko nadmiaru trudów i grozy. Menito litując się nad biednym zwierzęciem, z narażeniem własnego życia dostał się ze swęj wysepki do drzewa, u którego Czarnulo był uwiązany a odwiązawszy, skoczył mu na grzbiet, lecz kierować i wstrzy- mywać je podczas tak strasznej burzy nie było łatwym zadaniem. Menito bezwątpienia narażał życie, ale oprócz istotnego współczucia dla zwierzęcia przychylnego ludziom, zdawało się że w meksykańskim chłopcu, ozwała się nagle jakaś nowa siła, jakaś dzika przyjemność w tej walce z burzą, gdyż i on począł wydawać dziwne okrzyki radości czy przerażenia jakby wtórując głosem szalejącej natury.

Gromada małych czerwonych ulokowana nad głowami podróżnych na olbrzymich palmach i głusząca ich wrzaskiem od samego początku burzy, teraz nagle ucichła, zbierając się jakby na jakąś naradę. Zgromadziwszy się na potężnej pal- mie figowej zdawały się naradzać nad pytaniem czy drzewo to wytrzyma obłężenie jakie rzeka i burza mu wydały? Małpy szczebiotały gwarnie, tłumnie i niezgodnie, jak się to często w podobnym razie u ludzi zdarza.

Przeszło od czterdziestu minut trwał już ten piekielny chaos natury, gdy Kolema zdoławszy znów z trudem dostać się do Melchiora, krzyknął mu kilka słów do ucha, których jednakże kapitan w ogólnym hałasie nie dosłyszał, marynarz tymczasem mówił, że burza zbliża się ku końcowi, i wstocie w kilka minut nagle wiatr ustał. Zmiana na pogodę nastąpiła równie niespodzianie jak wprzód na burzę. W niecały kwadrans po najwyższym wzburzeniu, najzupełniejszy spokój zapanował w wysiloniej naturze. Słońce ukazało się w całym wspaniałym blasku i pozwoliło wędrowcom przemokłym do szpiku, osuszyć się i ogrzać w jego dobroczynnych promieniach; rzeka tylko była jeszcze tak wzburzona, że nie należało jej ufać i puszcząć się na fale. Noc następna wynagrodziła Melchiorowi i jego towarzyszom poprzednią, była to jedna z tych podzwrotnikowych nocy tak cichych, jasnych i rozkosznych, że urok ich starczy za dzień najpiękniejszy. Księżyc oblewał srebrzystym blaskiem pyszną, olbrzymią, bezbrzeżną rzekę, ukazując na niej tu i owdzie kępy zieleni, podobne do kwicistych koszów, poza którymi znowu srebrzyła się woda. Pomimo poprzedniego utrudzenia, podróżni nie mogli wyrzec się tych precudnych widoków, tem więcej, że wędrówka ich zbliżając się już do końca, nie obiecywała więcej takich rozkoszy.

Ze wschodem słońca pomiędzy krzewami i trawami otaczającymi rzekę i wyspy, rozróżnić można było gromady alligatorów i kaimanów rozkoszujących się także precudnym porankiem.

— Jaka szkoda, że nie możemy pozostać tu na resztę życia! — rzekł Tomek w kilka dni potem, gdy pysznym wieczorem spoczywano pod wspaniałymi drzewami, których zwieszane gałęzie naokoło chwytały się gruntu, niby kolumny podtrzymujące gmach okazały.

— Jakże pozostać tutaj — zawołał z zapalem Menito, gdy możecie wracać do Europy! jakże byłbym szczęśliwy na waszem miejscu!...

— A więc pojechałbyś z nami — rzekł Tomek. Tu Menito wyraził gorącą chęć towarzyszenia swoim przyjaciółom...

Kapitan sprzeciwił się temu z powodu nieznanej mu przeszłości chłopca.

— Nigdy, wyrzekł nie mogłem dowiedzieć się od ciebie jak przepędziłeś dwa ostatnie lata życia zanim zobowiązałeś się do służby u mnie? podejrzewam że musiałeś uciec od rodziców; a jeżeli tak jest, to nie chciałbym zabierać cię na stary ład, z kądem trudniej jeszcze byłoby ci do nich powrócić, co przecież jest twoją powinnością, której dopełnisz jak się spodziewam.

— A więc kapitanie... kiedy tak... powiem ci prawdę. Tak, zgadłeś, uciekłem! ale nie od rodziców, bo tych utraciłem w maleńkości, tylko od pewnej starej kobiety, która wzięła mię z litości jak powiadała, ale o ile to rozumiem, wzięła mię po to tylko, aby wychować na żebraka i złodzieja. Gdy to zrozumiał tak się okropnie wstydiłem i moja opiekunka przemawiała mię takim wstrętem, nawet gdy już od niej uciekłem, że nigdy nie miałem odwagi tego wam powiedzieć. Ale teraz to co innego: sami widzicie, że nie mam żadnej szczególniejszej przyczyny jak Dabby powracać do Meksyku, a nawet... przeciwnie.

— On ma słusność mój wuju! — zawołał Tomek — on ma słusność, nie możemy go tu zostawić przecież, aby wpaść znowu w ręce tej okropnej kobiety! — Melchior uśmiechnął się patrząc w szczyrą i otwartą twarz Menita.

— Ja bym się nie bał o Menita — rzekł — bo pewien jestem że potrafiłby w każdym razie wymknąć się z rąk niesprawiedliwych ludzi, jak to już raz uczynił; ale, jeżeli on chciałby popłynąć z nami...

— Otóż to... kapitanie — zawołał mały Meksykanin — wszakże ty sam powiedziałeś raz kiedyś niechcący, że podróż statkiem drogo kosztuje!...

— Tak jest wistocie — rzekł Melchior wesoło — ale co do tego punktu, to możeby się dało tak ułożyć, abyś przejechał w dodatku do licznych moich jak wiesz żywych i nieżywych bagaży, ale jest inna trudność: bo jakżebyś ty zarabiał na życie w Europie?

— No, a ci którzy tam w Europie mają ten jakiś ogród do którego zwierząt potrzebują, czy oni nie potrzebowaliby człowieka, któryby temi zwierzętami się zajmował, karmił je umiejętnie i pielęgnował wedle potrzeb ich natury? Czyby tam mię nie użyto do jakiej usługi?...

Dzień następny był ostatnim pobytu na Amazonce. Można było już i tak sądzić, że statek znajduje się na pełnym morzu, gdziebyś nie spojrział, rozciągał się tylko obszar wód bez końca, zasiany gdziegdzie błotnistymi wysepkami. Następnego dnia przybito do Para naprzeciw wyspy Maraja, tworzącej niezmierną deltę w ramionach rozdzielonej przez nią Amazonki, która po przebiegu sześciu tysięcy pięćset kilometrów, wpada do oceanu niezliczoną ilością ujść.

Tam, Melchior znalazł zwierzęta, które po kilka razy wysyłał, i wkrótce znakomite te osobliwości zostały starannie umieszczone na statku parowym płynącym do Europy.

Chwila pożegnania ziemi amerykańskiej nadeszła, nie bez żywego żalu, stary Dabby, Melchior i młodzi chłopcy ścisnęli sobie wzajem ręce po raz ostatni w życiu... prawdopodobnie. Dabby zęgnął się serdecznie ze wszystkimi, nie wyłączając Bibisi, a ściskając w objęciach Kasztana, rozplakał się serdecznie.

— Do widzenia! — wołali wszyscy, wzajem machając ku sobie chustkami i kapeluszami, w chwili odpłynięcia statku *Antylopy*...

Czy burze pozwolą *Antylopie* dobić ze swym ładunkiem do Europy?... któż to odgadnie?...

KONKURS.

Na zapytanie jednej z czytelniczek odpowiadamy, że konkurs nasz obecny z zakresu botaniki za który wyznaczamy nagrody jest: *Opisać kwiat najwięcej sobie ulubiony i objaśnić dla czego przenosi się go nad inne.* Warunki pozostają te same jak przy dawniejszych konkursach.

Redakcyja.

SZARADA.

ułożyła M. P. dla czytelników *Wieczorów*.

Pierwsze, stałe miejsce między literami.
Drugie, łatwo odnaleźć między przyimkami,
Pierwsze-drugie, pamiętne cudem Zbawiciela,
Pierwsze-trzecie, w kościele, gdy przyjdzie niedziela.
W życiu, lubo prędzej przy znaczniejszych świętach,
(Choć widzieć ją możemy i na własnych sprzętach)
Trzecie-pierwsze, zwyczajnie za schowanie służy,
Dla różnych w domu gratów, a częściej w podróży.
Wszystko sprzęt, co go raczej wynalazła moda,
Niż ze smakiem wykwintnym złączona wygoda.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 22-go.

Łamigłówki sylabowój:

Juliusz Słowacki. Książę niezłomny.

1. Jabłecznik.
2. Ulises.
3. Laskonogi.
4. Idyotą.
5. Uprząż.
6. Serce.
7. Zabobon.
8. Sasanki.
9. Łoże.
10. Ostromlecz.
11. Wyżeł.
12. Arno.
13. Cymborium.
14. Kameleon.
15. Ignacy.

Rebusa:

Siła zlego dwóch na jednego.

OD REDAKCYI.

Przy kończącym się pierwszym półroczu r. b. przypominamy prenumeratorom półrocznym, wczesne odnowienie przedpłaty jeżeli nie chcą doznać opóźnienia w przesyłce Pisma. Oprócz zapowiedzianych prac innych autorów, drukować będziemy w dalszym ciągu Zofi Urbanowskiej z **Wyspy Atlanty** w dodatku zaś po ukończeniu „Szesnastoletniego wojewody,” powieść Bronisławy Porawskiej dla starszej młodzieży pod tytułem: **Przybrana matka.**

Piąty zeszyt tomu I-go **Wielkiej Encyklopedyi Powszechnej ilustrowanej** wyszedł z druku. Wyszedł również 5-ty zeszyt **Kolorowanych tablic poglądowych do nauki o rzeczach**, wydawanych pod kierunkiem A. Dygasińskiego, nakładem A. J. Wiśniakowskiego.

TREŚĆ: Dawny pomnik w Meksyku (z drzew.) — Bratnia pomoc (drzew.) — List Jaskółki z nad Dunaju. — Pod wpływem błogosławieństwa (c. d.) — Poszukiwacze dzikich zwierząt (dokończenie). — Konkurs. — Łamigłówki i rozwiązania. **Dodatek:** Sierotka (z drzew.) — Mała nauczycielka, wierszyk. — Jak zrozumiała Helenka napomnienie mamy. — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** Szesnastoletni wojewoda, powieść p. Michalinę Zielińską.



SIEROTKA.

Mała Jadwinia, pojechawszy po świętach Bożego Narodzenia z miasta na wieś, do dziadunia i babuni, miała bardzo wiele zajęcia. Zawsze rano, po śniadaniu i dwóch godzinach lekcji z babunią, które jako siedmioletnia dziewczynka odbywała wzorowo, ubierała się ciepło w kapturek i futerko, i jeżeli dziadunio nie jechał gdzieś dalej, wychodziła z nim obejrzeć gospodarstwo. Wszystko tam zajmowało ją ogromnie. Wychowana w mieście, nie miała wyobrażenia jak to wieś wygląda nawet, i z początku bała się wszystkiego; niedługo przecież nietylko że bać się przestała, ale tak polubiła całe gospodarstwo że skoro dziadzio nie miał czasu, prosiła babci o pozwolenie towarzyszenia sobie pokojówce Rózi, i pod jej opieką szła obejrzeć cały inwentarz. Więc najpierw zwykle szły do obory, gdzie ślicznym cielątkom rozdawała chleb z solą zabrany z domu ze sobą; potem do stajni, zobaczyć jak się mają cugowe siwki i ulubiony „kasztanek” wierzchowiec dziadzi, który sam jeszcze doglądał na nim robót w polu, a nakoniec do owczarni. Tutaj Jadwisia najlepiej lubiła zaglądać i najwięcej czasu zawsze przebywała. Małe jagniątko, których z dniem każdym przybywało, zachwycały ją najwięcej. Śmiała się z całego serca patrząc na ich figlarne pierwsze skoki, naśladowała beczenie, i wchodząc do ich przegródki pieściła się z nimi, ciesząc się jak szczególniejszym jakimś sposobem nie bały się jej wcale.

Pewnego dnia, po takiej właśnie zabawie wychodziła już z owczarni skoro w jednej z klatek ujrzała za grzebane niemal w słomie jagniątko. Wyglądało jeszcze na bardzo małe i wątłe, a pomimo to matki z nim nie było, coby je karmić mogła. Dziewczynka zdziwiona

pobiegła do starego owczarza, pytając co to ma znaczyć że takie maleństwo zamknięte jest osobno, ale jakież było jej zmartwienie skoro dowiedziała się, iż wczoraj właśnie matka jego zdechła, a wszystkie inne owce do których to biedactwo przyłączono, poznawszy nie swoje dziecko, bodły i biły je niechcąc dać pokarmu.

— Biedna sierotka! — zawołała Jadwisia ze łzami w oczach, głaszcząc stworzonko, które osłabione głodem, nietylko że nie chciało od niej uciekać, lecz chwyciwszy za mały paluszek rączki, zaczęło ssać łakomie — i cóż z nią dalej będzie?!...

— Ha, nic panienczko — odparł owczarz — musi tak zmarnieć, kiedy go żadna owca przygarnąć i wykarmić nie chce, taka już jego dola.

— Co? zmarnieć!... — ona na to nigdy nie pozwoli żeby ta owieczka zdechnąć miała. O nie, nigdy!

Pobiegła szybko do domu, potem prosto do dziadzi pokoju, a skoro po kilku minutach ztamtąd wyszła smutna jej twarzyczka promieniała radością. Tak, prosiła właśnie dziadunia o pozwolenie wychowania małej owieczki, a prosiła tak serdecznie że otrzymała je. Dziadzio wprawdzie wątpliwie pokiwał głową jak mówiła o wykarmieniu maleństwa, ale ona wie co robi. Ma swoich własnych ubieranych pieniędzy parę złotych, kupi za nie taki gumowy smoczek z butelką, jakim w mieście karmią niektóre dzieci, i owieczka nie będzie głodną.

Już kiedy tak smacznie ssała jej paluszek, to niezawodnie ciepłe mleko z takiej buteleczki nierównie lepiej smakować jej będzie!...

Babunia pochwaliła zamiar wnuczki i tego samego dnia jeszcze, ponieważ była okazja do miasteczka i kupiono smoczek, „sierotka” jak ją odtąd nazywa którą babunia kazała przynieść i ulokować w oficynie, była nakarmioną do syta.

Mleko i nowy sposób żywienia podobał jej się widocznie, czy też może nie miała czasu przywyknąć do pokarmu matki, bo sporą buteleczkę wysączyła ze smakiem do dna.

I odtąd kilka razy na dzień troskliwa dziewczynka biegła do oficyny, by tam z pomocą Rózi zaspokoić głód wychowanki, lub zajrzeć co tam sama porabia.

A Sierotka nie okazywała się niewdzięczną. Skoro tylko ujrzała z daleka swą opiekunkę, biegła ku niej becząc radośnie, lizała jej rączki, ocierała jak kotek białą kręconą swą wełnę, a z łagodnych niewinnych jej oczu, można było wyczytać przywiązanie, jakie miała do dziewczynki. Zwolna mijały miesiące zimy i nastąpiła ciepła wiosna.

W ogrodzie zazieleniła się świeża trawka i powychylały z niej ciekawie na świat główki różnobarwne kwiateczki. Wówczas to Jadwinia pierwszy raz wyprowadziła na dwór sierotkę.

Owieczka z czerwoną wstążeczką i dzwonkiem u szyi, wśród zieleni ślicznie wyglądała.

Dopieroż to była zabawa na trawniku! Gdzie tylko Jadzia się ruszyła, biegła w ślad za nią jej wychowanka. Goniły się, chowały i odszukiwały, pieściły do woli, a skoro już później latem poszła do owczarni by razem z drugimi chodzić na paszę, tęskniła z początku bardzo, becząc żałośnie za swą panią, a ile razy zobaczyła ją z daleka choćby na polu, biegła ku niej i lizała po rękach, jakby dziękując za uratowane niegdyś życie...



MAŁA NAUCZYCIELKA.

ały dzień się uczę sama,
Tylko mi pomaga mama,
W wieczór piszę na papierze
I wycinam po literze
A rdzeństwo wnet się spiera
Jaka to jest ta litera...
Rzędem będę głoski kładła
Niech się uczą abecadła!...

Jak zrozumiała Helenka napomnienie mamy. X

(Dokończenie).

Powiedziawszy to, mama wzięła robótkę. Cisza panowała przez chwilę.

— Co ja pocznę! — nagle krzyknęła Helenka, załamując ze smutkiem rączki.

— Zkądże rozpacz i te łzy? — pytała mama, z widocznym niepokojem.

— O najlepsza, droga moja mateczko! jakże smutno nie mieć nic swego, bo i zasług żadnych się niema!

— Niepoprawna dziewczynko! także to rozumiałaś? Trzebaż koniecznie zyskiwać obdarzając? Niedosćże tej słodkiej w duszy pociechy, żeśmy podali zgłodniałemu kęs chleba, wspomogli nędzę, otarli łzę sieroty? Lecz jeśli Helcia koniecznie pragnie zysków, niechaj się czasem pozbawi przyjemności, jakichby za swe pieniądze użyć mogła, a wtedy każdy spełniony obowiązek stanie się dla niej miłszym, nawet bez głośno wyjawianej zasługi. Gdy ta jest czystą, wielką, sama przez się zyska uznanie.

Helcia zadumała się głęboko.

— O czym? — weseliej spytała mama, patrząc jej prosto w oczy.

— Myślę, że... gdyby można, że... gdyby wypadło...

— Cóż takiego? powiedz otwarcie.

— Mamo! — i żywo skoczyła Helenka, ściskając mamę za szyję — myślę, jedyna, złota!...

— Prędzj! wypowiedz te myśli, Helciu — rzekła z wielkiem zajęciem mama.

— Czy prawda, że w dniu moich urodzin dostałam od babuni dukata?

— Najoczywistsza, stwierdzona prawda.

— I że mateczka pozwoliła go wydać?

— I to jest święta prawda.

— Wydać, lecz na co zechcę?

— Raz ostatni mówię, że prawda.

— Och, dobrze, dobrze! — klaszcząc w ręce i skacząc wołała Helenka. Teraz dopiero najlepiej zrozumiałam!

Nazajutrz rano zapytała jej mama, przed rozpoczęciem lekcji:

— Gdzież to schowałaś ów dukat? Jestem ciekawa czy nie zginął przypadkiem.

Helenka stanęła strasznie zakłopotana.

— Ej, pewno się dukacik spotkał z ciastkami, albo roztopił jak cukierek? Milczysz?... źle, bardzo źle, bo dzieci nigdy nie powinny kupować nic bez wiedzy rodziców.

— Ja... ja też nic nie kupiłam.

— Ani nawet zabawek?

— Nic, nic doprawdy, kochana mamo.

— Nic?... tajemnice jakieś przed matką? Nie spodziewałam się tego po Helence.

— Mama — odrzekła nieśmiało Helenka — pozwoliła go przecie wydać.

— Zatem wydałaś?

— Podobno... jakoś... wczoraj.

— Powiedz szczerze, wyraźnie na co.

Helenka milczała skubiąc różek fartuszka.

— Nic nie powiesz? — głośniejsz odezwała się mama. Żadnej nie było odpowiedzi.

— Pytam gdzie dukat. Nie słyszy Helenka?

— Nie wiem — z pokorą wybąknęła córeczka.

— Tego zanadto! Nie wolno kłamać! Zasłużyłaś na karę. Proszę pójść za mną! Nie wyjdiesz z domu, póki się nie znajdzie twój dukat. I mama idąc poważnie zwolna, zmierzała ku domowi.

Łzy się polały z oczów Helenki. Szła z pochyloną głową, gdy wtem jej błysła w drodze myśl nowa, bo podniósłszy do ust swą lewą dłoń, szeptała ciche słówka:

— Co to jest? — rzekła stanawszy mama.

Zamiast żądanej odpowiedzi, Helenka przyłożyła rączkę do ucha, jakgdyby nadstuchując.

— Dość tego! idźmy! Helenka ma dziś gorączkę! rozmawia z własną ręką.

— Mamo — odparła z żywością Helenka — mateczka mi przebaczy! Ja pytałam się lewej rączki, co zrobiła z dukatem prawa.

Mama spojrzała badawczo i zrozumiała.

— Nie wie twoja lewica, co uczyniła z nim prawica? Czy nie zgadłam?

— Tak, tak, najdroższa moja mateczko! bo prawica chciała dobrze zrozumieć.

— I o dobrych czynkach nie powiedzieć nikomu?

— Tak! i nie chwalić się, bo to grzech.

Długi serdeczny uścisk utulił małą główkę na silnie bijącym sercu.

— Dałaś swój dukat pewno kobiecie, której dziecko jest bardzo chore?

— A! mamó — rzekła jakby z wyrzutem Helenka.

— Nie, już nie pytam! — ciągnęła mama, gładząc jej lekko włoski. — Ta kobieta jest rzeczywiście ubogą, dobrą i godną współczucia matką. Ja także ją wspomogłam, ale im więcej rąk pomocnych, tem lepiej. Niezmiernie się ucieszy babcia, żeś tak dobrze rozporządziła otrzymanym od niej pieniążkiem.

Nakoniec jedno jeszcze pamiętaj, że dziecko matce wszystko wyznać powinno, a nawet i to co prawa ręka Helci chce ukryć przed jej lewą. Jest to wyjątek w zasadzie tej nauki.

— Nie zapomnę go, moja mamó.

— A teraz idź i włóż kapelusik. Trzeba odwiedzić babcie.

— Biegnę! zaraz będę gotowa!

Ewa Marya.

Łamigłówka kryształowa.

ułożył Rycerz błękitny dla Komara przedpotopowego.

1. Spółgłoska.
2. Rzeka w Galicyi.
3. Część ręki.
4.
5. Rzeka w Polsce.
6. Dopływ Wołgi.
7. Samogłoska.

Rząd środkowy liter utworzy nazwisko autorki wielu książek dla młodzieży.

ZAGADKA.

ułożyła Ewa Marya.

Głośny rycerz, ma hełm czerwony,
 Pancierz lśniący różnie barwiony,
 W żółtym bócie z twardą ostrogą,
 Stąpa dumnie i patrzy srogo,
 Kiedy na straży stojąc u płotu,
 Krzyknie: Kto to tu?!
 A widząc że to cichy kolega,
 Zaraz mu chyżo drogę zabiega.
 Przystawa hardo,
 Czeka z pogardą;
 W końcu, chociaż mu nie grozi zdrada,
 Raptem nań wpada,
 Szarpie, drze, bije
 W łeb, w kark, w pierś, w szyję;
 W boju zażarty,
 Strasznie uparty,
 W prochu go tarza,
 Na nic nie zważał
 Lecz ten, co słabszych, w okrutnym szale,
 Bez krwi rozlewu nie puszcza wcale,
 Przed chwytającą ręką człowieka
 Jak tchórz ucieka!

Ów rycerz, z sercem do zwady skorem,
 Staje się butnym junaka wzorem,
 Co gardząc mocą szlachetną, prawą,
 Gotów każdego napadać z wrzawą,
 Zanim odparty nie pierzchnie w złości:
 Jego potęgą w drugich słabości.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 22-go.

Z a g a d k i:

Ma — ryś.

Łamigłówki kryształowej:

G
 K O t
 M a Ł p a
 G O Ł A B K A
 B a B k a
 O K o
 A

Skrzynka do listów.

Omyłkę co do nazwiska „Pomarańczarki rzymskiej”, prostujemy obecną korespondencją, odpowiedź na pierwsze jej zapytanie dajemy w ogłoszeniu o konkursie.

P. Sokulski w Zarajsku. Żądana książeczka wysłana, kosztuje wraz z przesyłką tylko kop. 70, pozostało przeto kop. 30 do dalszego rozporządzenia.

Adelci W. posłaliśmy zgubiony numer, aby jej oszczędzić „zmartwienia”.

Posłaliśmy także **Oleńce** żądane numera; pierwszego listu nie odebraliśmy wcale. Za korespondowanie z współczycielniczkami nie pobiera się oddzielnej opłaty.

Złota Przędzo, marzenia nie są grzechem; trzeba tylko snuć z nich „złotą przędzę” postanowień szlachetnych i postanowienia te w czyn zamieniać. Na takie marzenia dana jest człowiekowi młodość co nad poziomy” wlatuje... Za przysłane kwiaty dziękujemy serdecznie, również jak i za pobudkę, która cię skłoniła do niepoprawienia listu siostrzyczki. Z prawdziwym współczuciem czytaliśmy opis strasznej kłęski.

Żabko z Podola, z największą ciekawością czytaliśmy „oznajmienie” o kotku, piesku i lalkach. Zosię koniecznie upomnieć trzeba, aby się lepiej obchodziła z Helcią, cóż ta biedaczka pocznie teraz bez główki? Mamy nadzieję, że przynajmniej piesek nie postąpi tak niegodziwie z kotkiem.

Kłósku drogi, przestańże już być malutkim, skoro ci o to chodzi i na pełny, ziarnisty, chlebobajny kłós wyrastaj czempredziej.

Iskierce całusa przesyłamy; zrobi się z liścikiem według jej życzenia.

Oleńkę „z Kowla” oraz **Oleńkę „z pod Ojcowa”** z przyjemnością zapisujemy pod tym pseudonimem do grona korespondentek.

Stokrotce z nad Stochodu dziękujemy, że tak się do życzeń naszych stosuje i wymagania uwzględnia. Jednorazowe przystanie adresu jest zupełnie wystarczające.

Komecie żądany numer pošemy. Rebusy tylko poprawnie rysowane umieszczamy.

Niezabudce z nad Chomoru dziękujemy za życzenia, które wszakże nie należą nam się teraz.

Najlepszym podziękowaniem za nagrodę, otrzymaną na konkursie kalligrafii jest liścik tak kaligraficznie napisany. Tego Janosika zecer ma na swoim sumieniu, myśmy o Janosiku pisali.

Żabce z suchej wody i Srebrnej rosie nic „do wybaczenia” nie mamy; owszem za życzliwą o nas pamięć dziękujemy serdecznie. Liściki wydrukujemy.

Wierzbo płacząca ze Żmudzi, chętnie przystajemy na nowy pseudonym, życzymy jednak więcej wytrwałości w upodobaniach. Mówiąc zaś to, niekoniecznie same pseudonimy mamy na myśli.

O, **Biały Bzie**, jak ci pilno! cierpliwości, kwiatku kochany! Skrzynka do listów zawsze pełna...

Serdecznie nas cieszy, że tak **Zorza**, jak i tyle innych korespondentek z zajęciem czytają listy Abrakadabrusa. Numera żądane posłemy.

Dobremu czynowi (czy w darze od nas przyjmiesz ten pseudonym, ex-Niebieska wstążeczko?) serdecznie dziękują za konwaliaę, a jeszcze serdeczniej za pamięć, obdarzone nią osoby. Solelizantka osobno dziękuje za przysłane jej życzenia.

Pani J. Krz. dziękujemy za słowa uznania.

Błyskawicy zasylamy szczerze życzenia powodzenia w egzaminach. Kto tak uprzejmie przeprasza za małoznaczne roztrzępanie, na tego gniewać się niepodobna, tembardziej, że i u nas zakradła się pomyłka, z powodu której możnaby nas o roztrzępanie posądzić: dodaliśmy odważnemu Pływakowi lat; ma on dopiero lat 11.

Pseudonimy obrane przez **Muszelkę z nad Bohu i Obłoczka z nad Tepliku** bardzo są dobre, a ich właściciele miło nam powitać w gronie korespondentów.

O, **Psotnico** prawdziwą jesteś psotnicą, skoro takie figle płatasz przyjaciółkom.

Wesoła Pieszczołka bardzo dobrze zrobiła, dodając określenie do swego pseudonimu.

Miło nam słyszeć, **Góralko** droga, że z zajęciem czytasz pracę tej, która tak was kochała i tyle dla was pracowała.

I u nas **Kulko śniegowa** pogoda śliczna, a wiosna nawet i w wielkim mieście ma sobie właściwe uroki. Ach! gdyby to od nas zależało, ani jedno maleństwo ubogie nie spędzałoby lata w Warszawie. Poczciwi ludzie dużo dają na ten cel i z każdym rokiem więcej dzieci korzysta ze świeżego powietrza.

Brzydotko z nad Tamizy za pamięć o biednych, niech ci Bóg wynagrodzi i drugi dziesiątek lat pozwoli tak przepędzić, abyś kończąc go, gotową już była do podjęcia wszystkich obowiązków życia.

Kochany **Łobuzie!** Chciałbym zobaczyć się z tobą. Czytam z zajęciem nasze kochane **Wieczory**, podoba mi się najlepiej powieść: „Pod wpływem błogosławieństwa”. Co porabiasz? Czy zdrów już jesteś? Odpisz mi. *Plug poleski.*

Kochana **Jaskółko z nad Sekwany**. Czy zgadniesz kto do ciebie pisze? Czy zechcesz ze mną korespondować? Nie znasz mnie wprawdzie, bom nową prenumeratorką **Wieczorów**, ale ja ciebie znam doskonale z opisu. Wszak ci na imię **Julcia**? Kocham cię. Dla czego? spytasz. Może dla tego, że równa nasza dola; obie na obecnej ziemi znamy kraj nasz rodzinny tylko z opowiadania. Ścisłkam cię serdecznie, a ktoś co mi dużo o tobie opowiada, całusa ci posyła. Odpisz wnet *Szarotce alpejskiej*.

Drogi moje: **Litwinko z nad Szczary i Złota wierzbo!** Niezmiernie mnie ucieszył twój liścik i chętnie będę z tobą korespondowała. **Złota Wierzbo**, bardzo mi się twój pseudonym podobał. Donieś mi jak ci na imię ile masz lat, i jaka powieść w **Wieczorach** najwięcej ci się podoba. Donoszę wam, że na imię mi **Zosia**, skończyłam niedawno lat 13 i zimą mieszkam w Warszawie, **Ścisłska was Barwinek**.

Kochana **Cyganecko z nad Wisły!** Nie wiem, czy sobie przypominasz, że pisywałam do ciebie pod pseudonimem „**Kamelii różowej**”, przerwałam korespondencję z powodu różnych sprzeciwiających się temu okoliczności. Donieś mi droga **Cyganko** ile masz lat? gdzie mieszkasz i gdzie się uczysz? Która ci się powieść w **Wieczorach** najbardziej podoba? co do mnie to „**Szesnastoletni wojewoda**”. A teraz na zakończenie całuje cię serdecznie. Twoja stara *Praca*.

Zasylam serdeczne uściśnienia: **Brzydotce z nad Tamizy**, **Jadzi Sicińskiej**, **Jadzi Kozankiewiczównie**, **Krynicy**, **Maryli Krupczyńskiej** i **Makolągwie**.

Mości księżę **Genjuszów!** Będąc już młodzieńcem dorastającym, pisuję teraz do **Wieczorów** (równie jak i do kilku innych pism) przeważnie wierszyki i opowiadania. Kształcę się zaś w domu: tłómaczę klasyków, gram na fortepianie i t. d. Na imię mi **Witold**, mieszkam również w Warszawie. *Pegaz skrzydlaty*.

P. S. Kameleon jest uczniem V-tjej klasy szkoły realnej i nosi imię **Janusz**.

Droga Kuropatewko z nad Ikopetiu. Dziękuję ci bardzo za odpowiedź. Teraz dopiero ją przeczytałam. Jestem na pensyi w Krakowie w klasztorze, gdzie mi jest bardzo dobrze, lecz na Święta do domu przyjeżdżam i wtenczas dopiero dokazuję! Czy chcesz ze mną korespondować? Napisz jeszcze do mnie, a wdzięczną ci będę bardzo. Donieś mi co porabiasz w czasie wolnym od nauki. *Filaretka*.

Innym korespondentkom uściśnienia przesyłam.

Kochana **Galążko Wrzosu z Polesia!** Podoba mi się bardzo twój pseudonym, odpisz mi jaknajprędzej jeżeli zechcesz ze mną korespondować i donieś co o sobie. Tymczasem przyjm szczerze uściśnienia, również jak i **Gwiazdeczka Jerolimaska**, z którą chciałabym choć listownie zawrzeć znajomość. Wasza *Galążka paproci*.

Kochane: **Staszko z Podola**, **Biała Różyczko z Wołynia**, **Kampanello**, **Czarodziejko**, i **Kuropatwo z nad Ikopetiu!** Dziękuję ci droga **Staszko** za pamięć i pytam czy będziesz nadal czytywać **Wieczory**? Tobie **Różyczko** miła donoszę, że muzyka jest głównym mojem zajęciem. **Kampanello** kochana ślicznie ci dziękuję za liścik, na imię mi **Marta** mam lat 16. **Czarodziejko złota** mieszkam w Warszawie na Senatorskiej. **Grodzisk** znam dobrze. Ciebie najmilsza **Kuropatewko** z radością przyjmuję do naszego gronka. Przesyłam wam wszystkim drogie siostrzyczki miliony całusów, *Cyganecka z nad Wisły*.

Prenumeratorki **Wieczorów R.** nabywać mogą za pośrednictwem redakcyi następujące książki po zniżonej cenie.

Anczyc. Biblioteka dla młodzieży:

Hoffmana. Bóg nie opuści.
 „ „ Czas to pieniądz.
 „ „ Kręte drogi.
 „ „ Pierwszy błąd.
 Heninga. Gabor Hunyad Berengi.
 „ „ Dwie róże.

Broszurowane po kop. 40 zniżone 20. Kartonowane po kop. 50 zniżone 25 kop.

Leja. Fantazyja i prawda karton. rs. 1, zniżone kop. 50.

Macé. Powiastki karton. rs. 1, zniż. kop. 50.

Mayne Reid. Przygody myśliwskie kart. rs. 1 k. 20, zniż. k. 60.

Sekrecik białego dworku karton. rs. 1 kop. 20, zniżone kop. 60.

Tissandier. Męczennicy w imię nauki karton. rs. 2, zniżone rs. 1.

Piast. O zmroku karton. rs. 1, zniżone kop. 50.

Przyborowski. Baśnie ludowe karton. rs. 1 k. 50, zniż. kop. 75.